

Władysław Bartoszewski, Rede vor der UN-Generalversammlung / przemówienie przed Zgromadzeniem Ogólnym ONZ, 1995

Joanna Szwedowska

## Dawać świadectwo

*Od śmierci profesora Władysława Bartoszewskiego 24 kwietnia 2015 roku minęły zaledwie cztery lata, a jego nieobecność w polskim życiu politycznym i społecznym jest mocno odczuwalna. Dla wielu był symbolem pierwszego pokolenia urodzonego w wolnej Polsce, rocznik 1922, który maturę zrobił tuż przed wojną, nazwanego potem „pokoleniem Kolumbów”, wychowanego w patriotyzmie i miłości do ojczyzny. Dla innych był symbolem niezłomności postawy moralnej ujętej w słowach „warto być przywoitym”. Warto nie oznacza, że się oplaca, ale naprawdę warto – powtarzał Profesor kolejnym generacjom swoich słuchaczy i czytelników.*

Kiedy w styczniu 2002 roku wybierałam się z koleżanką z redakcji Drugiego Programu Polskiego Radia na pierwsze nagranie do Władysława Bartoszewskiego, nie przypuszczałam, że to spotkanie stanie się początkiem wspaniałej, zupełnie pozaradiowej przygody. Zbliżały się 80. urodziny Profesora, i z tej okazji w Programie Drugim zaplanowałyśmy cykl audycji prezentujących opowieści Władysława Bartoszewskiego o ważnych dla niego przeżyciach, ludziach i zdarzeniach. Byłyśmy przygotowane na spotkanie z człowiekiem legendą, uroczym gawędziarzem, ku mojemu zdziwieniu – dość rzadko goszczącym na antenie Polskiego Radia. Liczyłam na to, że wśród swoich rozlicznych zajęć

Władysław Bartoszewski będzie mógł nam poświęcić może godzinę, dwie, ale na pewno nie więcej.

„No to, drogie Panie, nie traćmy czasu” – powiedział Profesor, zasiadając naprzeciwko radiowego mikrofonu. Zdążyłam zadać jedno pytanie – o dom rodzinny i dzieciństwo – i popłynęła opowieść. „Popłynęła” to najważniejsze słowo, bowiem Profesor mówił – prawie bez przerwy – przez trzy godziny. Dobrze, że miałyśmy dwa magnetofony i kilka kaset, dzięki temu płynna narracja Profesora została zarejestrowana w całości. „No to co, dziewczęta, na początek chyba wystarczy?” – po trzech godzinach Bartoszewski przerwał swoją opowieść tylko dlatego, że miał umó-

wione kolejne spotkanie. Te pierwsze godziny dały przedsmak tego, co przyniosły następne miesiące.

Tak się złożyło, że wydawca Andrzej Rosner od lat namawiał Bartoszewskiego na książkę wspomnieniową, taki ALFABET. Nawet ustalili wspólnie hasła, które miały się tam znaleźć. Profesor postawił jeden warunek – ALFABET, owszem, tak, ale przedtem książka „Moja Jerozolima, mój Izrael”. I najchętniej by ją zrobił z redaktorem Szwedowską, której temat nie jest obcy, bo zrobiła już wywiad-rzekę z ambasadorem Izraela Szewachem Weissem. Ta książka, zatytułowana „Ziemia i chmury”, ukazała się nakładem wydawnictwa „Pogranicze” w 2002 roku,

a wstęp do niej napisał właśnie profesor Bartoszewski.

Jesienią 2002 roku, kiedy przystępowaliśmy do pracy nad książką, Profesor sądził, że już nigdy do Izraela nie pojedzie i jest to dla niego rozdział zamknięty, choć bardzo ważny. Dlatego chciał zrobić podsumowanie tej części swojego życia. Tytuł książki był ustalony, zakres tematyczny-czasowy także. Miała opowiadać o 12 podróżach Profesora do Izraela, o osobistych relacjach z ludźmi stamtąd i z polskimi Żydami, o okupacyjnej pracy w Radzie Pomocy Żydom „Żegota”, o przedwojennych, młodzieńczych kontaktach ze środowiskami żydowskimi, o powojennych przyjaźniach i sporach. Ale nie tylko. Bardzo ważnym materiałem do rozmów o Jerozolimie i Izraelu stały się, paradoksalnie, ubeckie teczki personalne Władysława Bartoszewskiego, które otrzymał on od Instytutu Pamięci Narodowej na samym początku funkcjonowania tej instytucji. Bartoszewski był pierwszym obywatelem PRL, przez lata więzionym, potem przez lata pozostającym „w operacyjnym zainteresowaniu” tajnych służb, który uzyskał dostęp do swoich teczek.

Wśród materiałów do pracy nad książką wykorzystaliśmy teczki dotyczące tylko spraw żydowskich. Stanowiły one zaledwie niewielki procent dokumentacji gromadzonej w ciągu ponad 40 lat przez Służbę Bezpieczeństwa na temat Bartoszewskiego, ale i tak – ułożone jedna na drugiej – piętrzyły się ponad metr nad podłogą. Donosy, meldunki z obserwacji, spisane z podsłuchów domowego telefonu rozmowy i wykłady wygłaszane podczas spotkań publicznych, notatki służbowe z podsłuchu założonego w gabinecie ambasadora Izraela w Warszawie. Skromną osobą Władysława Bartoszewskiego interesowały się – jeżeli chodzi tylko o sprawy żydowskie – aż trzy wydziały MSW. Ta inwigilacja, mniej lub bardziej intensywna, trwała ponad 40 lat, aż do lutego roku 1989. Zainteresowanie profesora sprawami żydowskimi było przez władze interpretowane jako syjonistyczna działalność skierowana przeciwko PRL lub – spektakularnie – jako chęć zrobienia osobistej kariery dzięki domniemanemu wsparciu środowisk żydowskich. W ogóle nie była brana pod uwagę najbardziej naturalna interpretacja, że Bartoszewski zajmuje się tymi sprawami z powodów ludzkich i historycznych – żeby relacjonować zdarzenia i dać świadectwo czasów, w których żyjemy. A dawanie świadectwa było, w moim odczuciu, najistotniejszym impulsem wszelkich działań Profesora.

Praca nad książką trwała dwa lata. Spotykaliśmy się w siedzibie Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa przy ulicy Wspólnej z tak często, jak na to pozwalały liczne zajęcia i wyjazdy prężnego 80-latk, który wcale nie zamierzał odpoczywać na zasłużonej emeryturze. Usiłowaliśmy rozmawiać w jego dyrektorskim gabinecie, ale każde spotkanie przerywane było licznymi telefonami. Bartoszewski biegał po pokoju, czytał załęgłą korespondencję, rozmawiając jednocześnie przez telefon, a co jakiś czas wykrzykiwał: „pożar burdelu to jest cicha msza żałobna w porównaniu z tym, co



się tu dzieje”, „Bartoszewski, bój się Boga”, „ja jestem prządka na wielu krosnach”. Po takich konstatacjach Profesor nalewał ze spokojem dobrze leżakowany koniak do służbowych kieliszków i kiedy już wydawało się, że w ten magiczny sposób ucichną telefony i zapanuje zbawienny spokój, kiedy wręczcie moje pytanie do profesora wybrzmiało w ciszy gabinetu, dzwonki telefonów odzywały się ponownie. Wstrzymywałam oddech z obawy, czy kiedykolwiek skończymy zaplanowaną książkę, śledząc jego plany wyjazdowe, kiedy próbowaliśmy ustalić kolejny termin spotkania. „Zobaczymy, zobaczymy... no nie, bo tu jadę na dwa dni do Monachium, wracam i szybkoitko do Szczecina, potem jeden dzień w Warszawie, ale tu już jestem umówiony... potem jeszcze gorzej, tu mnie nie ma, tu też... O! Pani Joanno, spotkajmy się za trzy tygodnie, będę miał dla Pani godzinkę! A tymczasem proszę przejrzeć te dokumenty...” – i wręczał kolejny pakiet wycinków prasowych, wykładów i przemówień. Tak to zwykle wyglądało.

Kiedy udawało nam się złapać pół godziny w tym kołowrotku bieżących spraw, żeby porozmawiać o przeszłości, też nie była to rozmowa łatwa. Profesor tylko z pozoru był łatwym rozmówcą; owszem, mówił dużo i potoczyście, wyczerpująco odpowiadał na pytania dotyczące ludzi i zdarzeń, jako zaprawiony rozmówca w wielu wywiadach i wystąpieniach publicznych. To, o czym chciał mówić, było oczywiście świetnie ułożone, ale jego wypowiedzi sprawiały wrażenie, jakby zostały wywołane naciśnięciem jakiegoś guzika, który uruchamiał wcześniej opracowane frazy. Bartoszewski zawsze mówił mądrze, rzeczowo, z sensem i na zadany temat. Owszem, lubił mówić o sobie, ale miał ku temu wszelkie powody. Dla dziennikarzy był rozmówcą idealnym, dla słuchaczy mówcą fascynującym. Jego znajomość wydarzeń, dat, osób i wzajemnych między nimi powiązań, jego pamięć do szczegółów były imponujące. Pamiętał wszystko, sypał datami i faktami jak z rękawa, miał idealną pamięć i wielki dar wymowy.

Ale ja czasami miałam wrażenie, że z tej niebywałej ilości perfekcyjnie wypowiedzianych zdań buduje mur, za którym się chowa. Czasami, zupełnie niespodziewanie, udawało się ten mur odrobinę skruszyć, i wtedy pojawiała się jakaś bardzo osobista refleksja czy opowieść z życia wzięta, najczęściej o spotkaniach ze zwykłymi ludźmi.

Bartoszewski zwykł mówić, że wszystko w jego życiu jest przypadkiem. Bo przypadkiem jako dziewiętnastoletni chłopiec, absolwent katolickich szkół, trafił 22 września 1940 roku do piekła na ziemi – obozu koncentracyjnego w Auschwitz, gdzie stał się numerem 4427. Cudem, a może przypadkiem, ocalał – wyszedł na wolność 8 kwietnia 1941 roku. Te kilka miesięcy na zawsze go ukształtowały moralnie, powtarzał to do końca życia. I zaraz potem – spotkanie z księdzem Janem Zieją, który dał mu wskazówkę, co ma dalej począć ze swoim ocalonym życiem.

„Wyszedłeś z obozu żywy, bo Bóg chciał, żebyś przeciwdziałał złu, które poznałeś. To wielka łaska i dług, który musisz spłacić. Pamiętaj, że są ludzie cierpiący, biedniejsi i nieszczęśliwsi od ciebie. Pomyśl o tych, którzy żyją za murem. Pomagaj każdemu, kto stanie na twojej drodze” – powiedział mu wtedy ksiądz Zieja. W naszych rozmowach Władysław Bartoszewski wielokrotnie wspominał to spotkanie i słowa, które stały się dla niego ratunkiem i jednocześnie drogowskazem moralnym na dalsze życie.

W 1988 roku, podczas międzynarodowej konferencji w Jerozolimie poświęconej his-

torii i kulturze Żydów polskich, wygłosił referat o powołanej w 1946 roku w Polsce Lidze do Walki z Rasizmem, której był współzałożycielem. Opowiadał mi o tym po latach, ale słowa, które wtedy wypowiedział, powinny dalej stanowić moralne przesłanie dla każdego, kto uważa się za katolika: „Na pytanie, czy ktoś z nas zrobił

Ale wcale nie jestem pewien, czy mnie się tylko tak nie wydawało. I przypuszczam, że przy solidnym rachunku sumienia każdy wierzący człowiek, działający z pobudek religijnych, może powiedzieć, że obok grzechów myślą, mową i uczynkiem, jako katolik ma również grzechy zaniechania, a więc niedokonania pewnego czynu,

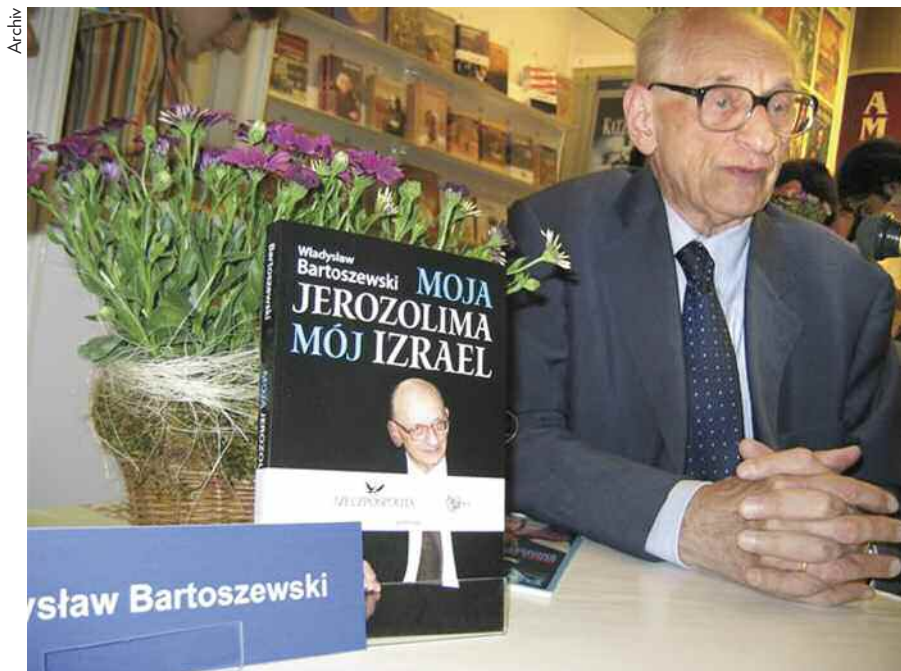
Władysław Bartoszewski, jako jeden z nielicznych w PRL, postanowił zebrać relacje Polaków ratujących Żydów podczas wojny. Apel o nadsyłanie takich świadectw został wydrukowany na łamach „Tygodnika Powszechnego” w marcu 1963 roku. Z nadesłanych wspomnień powstała – opracowana wraz z Zofią Lewinówną – książka „Ten jest z ojczyzny mojej. Polacy z pomocą Żydom 1939–1945”. Pierwsze jej wydanie pojawiło się w roku 1967, drugie – w 1969. Potem przez prawie 50 lat tytuł ten był legendą wydawniczą i poszukiwanym ważnym zbiorem dokumentów, aż do wznowienia w niepodległej Polsce dopiero w roku 2007. Dlaczego książkę wznowiono tak późno? Dlaczego właśnie Bartoszewskiemu przyszło do głowy, żeby zacząć zbierać te świadectwa? Dlaczego chciał poruszać tematy, które zdaniem większości były mało istotne, a na pewno nie na miejscu?

Z ciekawości, wnikliwości i pasji dziennikarskiej powstawały reportaże z podróży do Izraela, drukowane w Tygodniku Powszechnym od stycznia do lipca 1964 roku. Do dziś czyta się je z wielkim zainteresowaniem – tak wiele mówią o tamtej rzeczywistości młodego państwa. Podczas tej podróży jesienią 1963 roku Bartoszewski zasadził drzewko Żegoty w Ogrodzie Sprawiedliwych w Yad Vashem i nagrał obszerną relację o swojej wojennej działalności w Referacie Żydowskim. Sprawiedliwy wśród Narodów Świata, od 1995 Honorowy Obywatel Państwa Izrael, zakochany w tym państwie, choć nigdy miłością ślepą i bezkrytyczną.

Z drugiej strony – Niemcy. On, więzień Auschwitz, 28 kwietnia 1995 roku, w 50. rocznicę zakończenia II wojny światowej, jako jedyny obcokrajowiec został zaproszony, by wystąpić podczas uroczystej sesji Bundestagu i Bundesratu w Bonn, i przemawiał, co nie było zapewne zaskoczeniem dla jego sympatyków, ponad 50 minut.

Zawsze niezależny, zawsze szanowany, zawsze służący mądrą radą i potrafiący najtrudniejsze sytuacje dyplomatyczne rozwiązywać za pomocą żartu, dowcipu i mądrości. Był zaprzeczeniem wszelkich stereotypów i bardzo lubił, kiedy to zauważano. Był taki jedyny w naszej chorej Europie i chyba jedyny taki na świecie.

**Joanna Szwedowska**  
dziennikarka radiowa, była redaktorka Drugiego Programu Polskiego Radia, autorka książki „Władysław Bartoszewski: Moja Jerozolima, mój Izrael”.



Bartoszewski zawsze mówił mądrze, rzeczowo, z sensem i na zadany temat. Owszem, lubił mówić o sobie, ale miał ku temu wszelkie powody. Dla dziennikarzy był rozmówcą idealnym, dla słuchaczy mówcą fascynującym. Jego znajomość wydarzeń, dat, osób i wzajemnych między nimi powiązań, jego pamięć do szczegółów były imponujące. Pamiętał wszystko, sypał datami i faktami jak z rękawa, miał idealną pamięć i wielki dar wymowy. Ale ja czasami miałam wrażenie, że z tej niebywałej ilości perfekcyjnie wypowiedzianych zdań buduje mur, za którym się chowa.

dość dla ratowania Żydów w czasie wojny, jest jedna odpowiedź: nikt z nas nie zrobił dość, bo dla wierzącego chrześcijanina zrobić dość dla bliźniego zagrożonego utratą życia, to być gotowym do oddania za niego własnego życia. Jeżeli zadajemy to pytanie w tych kategoriach, w rozmowie politycznej czy historycznej, co to znaczy – dość, mogę powiedzieć, że ja z pewnością nie zrobiłem wszystkiego. Bo nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, czy jeszcze więcej nie mogłem zrobić. Mnie się wtedy wydawało, że więcej nie umiem czy nie mogę.

którego mógłby dokonać. O tym jest mowa w każdym rachunku sumienia podczas mszy świętej. Musimy pamiętać o grzechu zaniechania. Gdzie jest granica przyzwyczajenia? Gdzie jest granica czynności? Czy danie jałmużny biednemu jest tą granicą czynności, czy też przyjęcie go pod swój dach? A może podzielenie z nim szaty, jak to niektórzy święci robili? Nikt nie może o sobie powiedzieć, że zrobił dość, poza tymi, którzy zginęli, niosąc pomoc innym. Jedynie ci zrobili dość”.